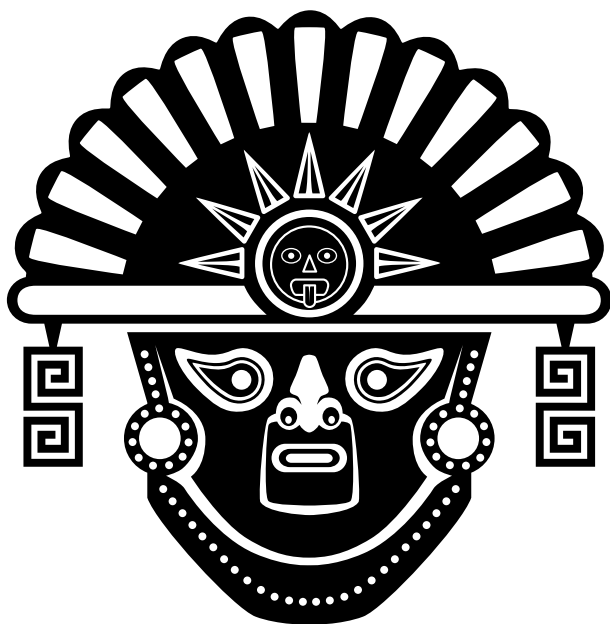


KRZYK KWIEŹALA

ŁUKASZ GOŁĘBIEWSKI



KRZYK KWEZALA



KRZYK KWEZALA

Łukasz Gołębiewski

Jirafa Roja
Warszawa 2012

© Copyright by Łukasz Gołębiewski, 2012


© Copyright by Jirafa Roja, 2012

Książka ukazała się pod honorowym patronatem ambasady Meksyku.

Redakcja i korekta:

Hanna Kukwa

Łamanie:

Tatsu  tatsu@tatsu.pl

Projekt okładki:

Agnieszka Herman

Rysunek na okładce i mapy:

Ewa Sabała

Aztecka maska:

www.istockphoto.com

Blog autora www.xenna.com.pl

ISBN 978-83-62948-04-8

www.jirafaroja.pl

Wydanie I

Warszawa 2012



*Poświęcam pamięci mojej babci
Hanny Morawieckiej*

*Milczenie indiańskiego świata jest dramatem,
którego konsekwencji jeszcze nie zmierzyliśmy.
Dramatem podwójnym, niszcząc bowiem kultury
amerykańskich Indian, zdobywca unicestwił
część siebie samego, część, której nigdy już
nie będzie mógł odnaleźć*

Jean-Marie Gustave Le Clézio



Gryzący i mdły dym kopalni wypełnił zimne, ale dobrze oświetlone wnętrza świątyni. Rozłożona na bazaltowym kamieniu dziewczyna ma nie więcej niż piętnaście lat, dopiero zaczynając pęcznieć krągłe piersi, teraz obnażone, lśniące od oliwki, którą natarto śniadą, gładką skórę. Oddycha niespokojnie, ale nie próbuje się bronić. Jej ciemne oczy, teraz zamglone łzami, uciekają od wzroku stojącego przed nią mężczyzny, błędzą po rzeźbionych ścianach, reliefach z wizerunkami ptaków i węży oplecionych kolczastym pnączem. Dziewczyna mamrocze półszepcetem, pół skomlać, pojedyncze słowa, jakby wyliczała winy, a może niespełnione marzenia.

Oczy stojącego przed nią dobrze zbudowanego mężczyzny są równie ciemne jak jej, ale całkiem spokojne. Patrzy na lewą pierś dziewczyny, na której ma małe znamię, bez pożądania i bez ciekawości, za to z precyzyjnym skupieniem perfekcjonisty.

Błysk, czarne ostrze, krótki krzyk, dłonie zanurzają się w otwartą pierś, wydobywają bijące jeszcze serce. Dwadzieścia uderzeń bębna.

Mężczyzna w złotej masce ze spokojem ogląda ociekający krwią obsydianowy nóż. Pofalowane ostrze pokryte drobnymi znakami ociera w delikatny jedwab i ze starannością odkłada do kamiennej szkatuły we wgłębieniu poniżej ołtarza. Spogląda w zimną twarz Kolibra z Południa, boga-opiekuna, pana wojny i słońca w zenicie, Huitzilopochtli, który w tych ciężkich dniach uparcie odmawia mieszkańcom Tenochtitlanu wsparcia. Drgający

jeszcze organ wyrwany z piersi ofiary dołączył do innych okrwawionych serc. Bóg milczy obojętny ofierze, choć ta krew jest dla niego, by się nią karmił, by powstał i wsparł swoich wyznawców w walce z przybyłymi zza morza brodacami.

Władca odwraca się do swoich kapłanów.

— Bóg ziemi otwiera usta. Pragnie napić się krwi tych wszystkich, którzy polegą w wojnie. Stworzeni z krwi i kości bogów dopełniamy święty cykl — twardo brzmią słowa śpiewnego języka nahuatl.

* * *

Ufortyfikowany na środku jeziora, olśniewający bogactwem Tenochtitlan zdaje się być twierdzą nie do zdobycia i zapewne nikomu prócz brawurowego dowódcy hiszpańskich wojsk — Hernana Cortesa — nie przyszłoby do głowy, że można się tam wdrzeć do środka. Dużą wyspę, na której wzniesiono najważniejsze dzielnice miasta, oddzielają od lądu trzy groble poprzerywane drewnianymi mostami. Łatwo je rozebrać by utrudnić przeprawę. Zbudowana przed laty wysoka tama utrzymuje bezpieczny poziom wody, by w razie długotrwałych opadów — tak częstych w otoczonej górami dolinie — miasto nie zostało zalane. Jezioro jest słone, ale zimną i czystą wodę pompuje olbrzymi akwedukt. Poza główną wyspą są tu dziesiątki mniejszych, najczęściej sztucznych, budowanych z wyplatanej trzciny i gąłęzi, tak mocnych, że są w stanie unieść domy.

Samo miasto jest ogromne i olśniewające, a mieszka tu jakieś trzysta tysięcy ludzi. Prawdziwa metropolia. W dzielnicach handlowych i rzemieślników tętni ruch, turkot i zgrzyt, kamień uderza o kamień, jazgot papug, których pióra zastępują tu pieńiądz, kupcy nawołują do swoich straganów, wielu dotarło na targ wędrując z odległych stron — Taraskowie z Tzintzuntzan, Mistekowie, zwani Ludźmi Chmur, z Tututepec, nawet dumni Majowie z Jukatanu czy z jeszcze odleglejszych krain jak Uta-

tlán. Dzielnice miasta przecinają dziesiątki kanałów, niemal przy każdym domu, choćby to była licha chata z trzciny, zaciemowana jest łódź, bo wejścia są od strony wody. Po zdjęciu drewnianych mostów łatwo zamknąć dostęp do kolejnych dzielnic i zamknąć wroga w pułapce. Wzdłuż kanałów ciągną się rzędy chatynek z trzciny i drewnianych bali, w głębi są domostwa bogatsze, z białego wulkanicznego kamienia, dalej — pałace i świątynie. Mienia się barwne dekoracje, złoto, srebro, turkusy, jaspisy i nefryty, lśnią gładkie obsydianowe powierzchnie, odbijają światło perliste muszle zdobiące fantazyjne malowidła, płaskorzeźby i posągi, które zdobią pałace arystokracji. Cztery proste i szerokie ulice, zamknięte bramami i wysypane białymi kamyczkami, prowadzą do otoczonego Murem Węża głównego placu — Świętego Dziedzińca Huey Teocalli — na którym wzniesiono świątynie, królewskie pałace, szkoły i arsenały. Góruje wielka piramida, a na niej świątynie ku czci najważniejszych bogów — Huitzilopochtli, który odpowiada za sukcesy w walce oraz Tlaloca, który zapewnia urodzaj. Poniżej wieże innych świątyń, a jest ich tu aż osiemdziesiąt. Najpiękniejsza jest biała rotunda boga Wiatru, zwieńczona szpiczastą, błyszczącą w słońcu kopułą.

Obchodząc świątynny plac można zrobić po czterysta kroków w każdą stronę dobrze wyciągając nogi. Żadne inne miasto nie może poszczycić się czymkolwiek podobnym, rozmach architektów równy jest zgromadzonemu przez imperium bogactwu. Pośród pałaców i świątyń pyszną się egzotyczne ogrody i królewski zwierzyńiec pełen niezwykłych okazów. Powietrze wypełnia miły zapach kwiatów i owoców oraz świergot tysięcy papug. W wąskich kanałach szumi krystalicznie czysta woda pompowana akweduktami wprost z górskich strumieni. Niezwykła jest uroda tego miejsca.

Drugi kompleks religijny i pałacowy znajduje się w dzielnicy Tlatelolco, którą częściowo wzniesiono na sztucznych wyspach. Jej mieszkańcy zachowują autonomię i z dumą nazywają siebie

Tlatelolkami, tak jakby nie byli poddanymi tego samego władcy. Poza murami znajdują się biedniejsze dzielnice, gęsto zabudowane, czyste, zadbane. W dzielnicy Cuepopan kwitną kwiaty, rosną owocowe drzewa, tu mieszkają *mayerques* — pracownicy rolni. Tlatelolco tradycyjnie jest częścią handlową, tu znajduje się największy na świecie targ. Gorszą sławą cieszy się rzemieślnicza dzielnica Moyotlan, zwana „miejszem komarów”. Tu domy są licho sklecone, często bez zaprawy murarskiej, kobiety otoczone gromadkami dzieci, spędzają dnie na wyplataniu mat czy wyprawianiu skór, mężczyźni mają swoje warsztaty — obrabiają drewno, obsydian, krzem, formują naczynia z gliny. Dzielnica Teopan, zwana „miejszem boga”, przynależy do Świętego Dziedzińca. Tu są szkoły, które kształcą wojowników i kapłanów, a obowiązek szkolny w podstawowym zakresie obejmuje każdego, bez względu na miejsce w społecznej hierarchii. Zajęcia odbywają się z matematyki, astronomii, historii, sztuk walki, posługiwania w uroczystościach religijnych. Jedynie dzieci arystokratycznych rodów opanowują skomplikowany system znaków i mają dostęp do zgromadzonych w bibliotekach ksiąg, dochowując monopolu władzy nad pismem. Dzielnica umieszczona na północnym wschodzie wyspy to Aztacalco — „dom czapli” — i tu żyją przede wszystkim rybacy, na drewnianych żerdziach suszą się sieci, do brzegu przycumowano setki długich lekkich łodzi.

Spokój należy jednak do przeszłości, nikt nie ma teraz czasu zachwycać się pięknem i harmonią. Od miesięcy miasto pogrążone jest w strachu i rozpacz. Dumna stolica imperium przeżywa swoje najgorsze dni.

Zanim nadeszło zło, wielu wróżyło straszliwy koniec. Stara przepowiednia zapowiedziała nadejście Quetzalcoatl, człowieka który stał się bogiem i który powróci by przejąć królewską władzę i zapoczątkować nową erę. Czy Quetzalcoatl istotnie wrócił, czy dopełnia się czas? Kapłani nie są co do tego zgodni. Wódz najeźdźców budzi trwogę, jego szpetna, brodata,

naznaczona bliznami twarz przypominała wizerunki Upierzonego Węża, dlaczego jednak bóg przybył by zniszczyć własne świątynie i pogrzebać swoich wyznawców? Może to zatem nie Quetzalcoatl lecz uzurpator, któremu dać trzeba odpór zamiast słać podarki i bić pokłony. Wokół nowego władcy Tenochtitlanu nie brakuje gniewnych, gotowych podjąć walkę, choćby mieli przypłacić ją życiem swoim i swoich bliskich. Wychowywana od dziecka do walki elita, wojownicy z zakonów Jaguara i Orła, walczyć będzie do końca, kapitulacja oznacza bowiem coś gorszego niż śmierć, dla żołnierza to hańba. A w mieście wciąż jest dwieście czy nawet więcej tysięcy ludzi i dostatecznie dużo broni by w razie ataku stawiać opór. Położony na środku jeziora Tenochtitlan ze swoim niewyobrażalnym bogactwem zdaje się być twierdzą nie do zdobycia.

A jednak niepokój narasta i trudno nad nim zapanować. W ciągu niespełna pół roku zginęło dwóch kolejnych władców. Jeden jako zdrajca ukamienowany przez własny lud jest przynębiającym symbolem hańby. To jego słabość i niezdecydowanie doprowadziły do tego, że wróg stoi teraz u bram. To bojaźń i fatalizm Montezumy doprowadziły do klęsk i śmierci wielu dostojnych wojowników i kapłanów — podstępnie wymordowanych przez wroga. Montezuma zdradził, okazał się być nie tylko tyranem, ale i krótkowzrocznym tchórzem, o którym Tenochkowie chcieliby jak najszybciej zapomnieć. Nie wszystkie niepowodzenia można jednak przypisać królowi Montezumie II. Ludowi Anáhuac, jak nazywają siebie mieszkańcy Doliny Meksyku, wyraźnie nie sprzyja los, pomimo coraz liczniejszych ofiar składanych na ołtarzach obrażonych bogów. Wypełniają się stare, złe przepowiednie. Rozważny Cuitláhuac, brat i następca Montezumy, a wcześniej pan Iztapalapy, w grudniu zeszłego roku zmarł na straszliwą epidemię *hueyeczahuatl*, czarnej ospy, po zaledwie osiemdziesięciu dniach panowania. Zaraza odebrała największemu z miast Trójprzymierza nie tylko kolejnego władcę, pochłonęła dziesiątki tysięcy istnień w ciągu zaledwie kilku

miesiący. W tamtych dniach nie nadążano z paleniem zwłok, a do dziś nad białymi domami, nad dachami wspaniałych pałaców i świątyń unosi się nie tylko słodycz owoców i kwiatów, ale też gryzący dym i mdły zapach śmierci.

* * *

Życie samo w sobie nie znaczy wiele. Jest ono tylko elementem ciągłej wymiany świata natury, słońce wstaje i słońce zachodzi, każdego nowego dnia czas się odradza, aż dopełni się los. Krew ofiar i jej rytuał to sekretna więź łącząca ludzi i bogów. Bogowie stworzyli wszelki byt, ofiara zaś przenosi życie do innego wymiaru, do wiecznego królestwa obfitości. Lud Meksyku nie zna lęku przed śmiercią. Strach wzbudza myśl o gniewie bogów i dokonaniu się czasu, który nie jest dany człowiekowi na wieczność. Strachem napawa wizja nicości.

Dla mieszkańców trzech wielkich miast skupionych wokół słonego jeziora Texcoco nadeszły straszne czasy. Na niewiele zdało się zgromadzone wcześniej bogactwo i rozległe polityczne wpływy — obejmujące ziemie od oceanu do oceanu. Trwające blisko sto lat Trójpzymierze rozpadło się, sojusznicze miasta upadły, zostały splądrowane i zniszczone, dawni przyjaciele odwrócili się, a wasale trwożnie przeszli na stronę wroga — nie bacząc na jego brutalność i chciwość. Bładolicy przybysz nie oszczędza nikogo, kto nie godzi się służyć jego rozkazom. Bierze jak własne najpiękniejsze kobiety, piętnuje żelazem dzieci, mężczyzn morduje lub zakuwa w kajdany i zmusza do niewolniczej pracy. Zostawia za sobą zgłiszcza, budzi strach. Burzy świątynie, niszczy posągi, zakazuje prastarych rytuałów krwi, które — zgodnie z prาดawną wiarą — odnawiają porządek świata.

Teraz, gdy sojusznicy zdradzili, a wrogowie wciąż rosną w siłę, wielki Tenochtitlan — stolica imperium — może liczyć już jedynie na własne bohaterstwo i wytrwałość oraz na wyrozumiałość urażonych bogów. Rozstrzygnięcie w walce musi być

szybkie. Przedłużające się obłężenie oznacza powolne konanie — zaczyna brakować jedzenia i wody, grozi kolejna epidemia, a wszystkie drogi ucieczki szczelnie zablokowały obce wojska.

* * *

Nad szeroką ulicą prowadzącą ku murom świątynnego dziedzińca unosi się kurz i piasek, południowe słońce wysuszyło ziemię, która jest jak pył unoszony podmuchami wiatru. Delikatny wiatr rozwiewa czarne kosmyki włosów siedmioletniej Citlalin. Stawiając wysoko bose stopy, dziewczynka dziarsko maszeruje z wielkim koszem na plecach. Co chwilę przystaje zadziwiona przelatującym motylem, który nieoczekiwanie ma trzy różnobarwne plamki, dwie na jednym skrzydełku, jedną na drugim, skąd ta niedoskonała asymetria? Wysłana przez matkę po chrust do rozpalenia paleniska, mała Citlalin beztrakośko łapie w dłonie słone krople bryzy przywiane znad jeziora. Wtem zastyga w napięciu. Na kamieniu wyleguje się duża zielona jaszczurka z zabawnym grzebieniem wzdłuż grzbietu. Citlalin robi na palcach dwa kroki w jej stronę, w jej ruchach jest czujność myśliwego, dziecięcą nieporadność zastąpiła zaskakująca kocia zwinność. Błyskawicznie łapie w rączki, gada, zanim ten zdąży czmychnąć, mocno przyciska go do piersi i z krzykiem radości biegnie w stronę domu. Mama się ucieszy z jaszczurczego mięsa, od wielu dni ich posiłkiem są tylko kukurydziane placki z wodnistym wywarem z nasion amarantu, z rzadka z dodatkiem kilku zgniłych pomidorów.

Nad Świętym Wzgórzem unosi się stróżka ciemnego ofiarnego dymu. Władca nie patrzy na miasto i nie widzi swoich poddanych. Uparcie, ze smutnym spokojem wpatruje się w kamienne oblicze boga. Liczy wciąż na wsparcie swojego patrona — cóż można mieć ponad wiarę gdy los jest przeciwny? Kapłani nie są w stanie znaleźć odpowiedzi na dręczące pytanie — dlaczego do tego doszło, skoro skrzętnie dochowywano

wszystkich rytuałów, gorliwie składano ofiary? Dlaczego bogowie odwrócili się od ludu Meksyku? W bazaltowym posągu nie znalazł odpowiedzi.

— Pozostaje nam walka do końca, choćby bez nadziei na zwycięstwo — Cuauhtémoc zdjął z twarzy złotą maskę, wytarł w podany mu ręcznik dłonie i odwrócił się w stronę zebranych w ciasnym kręgu kapłanów i dowódców. Postawny młodzieniec świetnie panuje nad emocjami, głos ma zimny i dumny, oczy bystre. Jego przybrane imię znaczy: Ten, który atakuje jak orzeł i pasuje do obecnej sytuacji — oczekuje się od niego męstwa i wytrwałości w walce. Jest jedenastym *tlatoanim*, władcą Tenochtitlanu — najpotężniejszego z miast-państw w Dolinie Meksyku. Stolicy dawnego imperium, dziś obleganej twierdzy. Syn Ahuitzotla, ósmego króla, a także następcą zmarłego niedawno Cuitláhuaca, potomek wielkiego rodu i spadkobierca potężnych insygniów wstąpił na tron w dniach smutku i zwątpienia. Pozbierał armię, odsunął złych doradców swego stryja i przygotował miasto do ostatecznej konfrontacji. Jego majestat dodawał otuchy, odwaga przydawała sił.

— Bez nadziei na zachowanie życia, panie — przed innymi wystąpił Sowa Kwezal, pochylił z godnością głowę, a słowa jego zabrzmiały hardo. Atletycznie zbudowany wojownik, odziany w twardy niczym stal barwny kaftan ze zbitej, pikowanej bawełny, wygląda jak jeden z kamiennych posągów, jak postać z innego, nieśmiertelnego świata. — Żaden z nas się nie cofnie!

— Jeśli nie możemy walczyć o życie nasze i naszego ludu, walczyć zatem o honor — głos Cuauhtémoca brzmi uroczyście, tak ma być. Morale nie tylko żołnierzy, ale także dowódców zostało w ostatnich miesiącach zdruzgotane. Poznali gorycz klęsk i upokorzeń i to z rąk obcych przybyszów — tych, którzy przybyli z daleka na pływających domach by zniszczyć dotychczasowy porządek. Zniszczyć wiarę ojców i obrazić bogów. Wojenny szlak wroga znaczą spalone świątynie i bestialsko niszczone te miasta, które nie ugięły się przed *teules*. Tak podstępnie siebie

nazywali — *teules*, równi bogom. Bładolicy i brodaci rycerze zza morza na groźnych czteronogich bestiach — parskających, spoconych bezrogich jeleniach, które podczas biegu wydają odgłosy padających na ziemię kamieni. Mają czarne psy o żółtych ślepiach i zapadłych brzuchach, tak silne i tak wściekle jakby przybyły z samego dna świata podziemnego, Mictlanu. Potrafią razić ogłuszającym ognistym gromem, są odziani w żelazo i budują pływające góry. Ale nie są nieśmiertelni. Nie są bogami, o nie, raczej bestiami owładniętymi gorączką pożądania. Dla złota gotowi byli przyjść aż tutaj pod mury Tenochtitlanu, dla klejnotów gotowi są zniszczyć wszystko, co im stanie na drodze, nie bacząc na rany, na śmierć, na gniew bogów. Przy najmniej bogów znanych w tym świecie, bo wraz z powiewającymi sztandarami niosą własnego ukrzyżowanego Pana i on im niewątpliwie sprzyja.

Jest tak młody, nie ma jeszcze dziewiętnastu lat. Ten wy studiowany majestat, kontrolowany spokój przydają mu jednak powagi. A wie, że w zbliżającej się decydującej bitwie będzie musiał okazać wielką odwagę. Jeśli bogowie milczą, pozostają jedynie spryt i męstwo. Chce dać swemu ludowi nadzieję, choć sam jej nie znajduje. Lecz gdy nie ma nadziei, pozostaje jeszcze honor wojownika. Nie podda miasta, nie odda jego mieszkańców w niewolę i pohańbienie. A walka nie jest jeszcze przegrana. Do dyspozycji ma wielką armię, wyszkolonych i twardych wojowników, oddziały, które do niedawna siały postrach pomiędzy brzegami oceanów. Żołnierze Tenochtitlanu wołają zginąć niż iść w niewolę. Od dziecka wzrastali w *telpochcalli* — szkołach przygotowujących do walki i bohaterskiej śmierci. Oni nie znają lęku. Śmierć w walce oznacza prostą drogę do Domu Słońca w niebie, wieczność wśród bogów i ubóstwianych kobiet. A teraz grozi nie tylko śmierć, lecz całkowite unicestwienie, jest zatem o co walczyć. Przybysze przyprowadzili nie tylko rżące bestie, lecz także swoją wizję świata. Chcą odmienić obowiązujące tu od wieków prawa — uświęcony rytuałami religijnymi porządek

dnia i nocy, ognia i wody. Cuauhtémoc nie czuje lęku, a jedynie ciężar odpowiedzialności i ogromny smutek. Nieoczekiwanie i w trudnym momencie objął władzę, cieszy się jednak zaufaniem zarówno pozostałych przy życiu wodzów jak i mieszkańców udręczonego miasta. Pomimo młodego wieku ma na koncie kilkanaście wygranych bitew, pieśni chwalą jego charyzmę, odwagę i talent przywódcy. Dobrowolnie zrezygnował z przynależnych władcy zaszczytów, z uwagą potrafi słuchać doradców, skupiając wokół siebie tych, którzy gotowi są działać. Odprawił tych wszystkich kapłanów, którzy z fatalistycznym uporem zapowiadali zagładę, a także tych spośród arystokratycznych rodzin, którzy gotowi byli poddać się lub uciec. Odwaga ma teraz w Tenochtitlanie najwyższą cenę, wyższą niż pobożność, bogactwo czy koneksje.

Cuauhtémoc odrywa wzrok od bazaltowej figury, z oddali dochodzi czysty, głęboki i delikatny śpiew kwezala — krótka melodia o trochę smutnej, trochę tęsknej barwie. Myśli rozpierzchają się, na moment powraca nękający go ostatnio w snach niewyraźny, trudny do zinterpretowania obraz, w którym wielki wąż opłata drobne kobiece ciało, zagryza zęby na jej piersi, jakby chciałssać mleko, ta wizja budzi nieoczekiwany lęk. Czuje pulsujące w skroniach tętno, próbuje odgonić złe widziadło i zapanować nad coraz krótszym oddechem. Spokój!, przywołuje myśli do porządku, nikt zdaje się nie zauważył tej chwili słabości.

W świątynnej niszy, zdobionej białymi i czerwonymi ornamentami drobnej ceramicznej mozaiki, stoją najbardziej zaufani żołnierze i kapłani. Odziani w kwieciste peleryny, przyozdobieni piórami, klejnotami z turkusów i jadeitu. Przywódcy zakonów Jaguara i Orła w rytualnych strojach, pod którymi kryją się pikowane kaftany *ichcahuipilli*, tak mocne, że z trudem przebija je obsydianowy miecz. Przybysze zza morza nie używają jednak obsydianu lecz żelaza, ich miecze są ostrzejsze i cięższe, ich strzały przebijają drewniane tarcze i przenikają przez utkane z agawy kaftany, a największy niepokój budzą grzmiące lufy —

rażące na odległość ogniem i kamiennymi pociskami, które za jednym razem są w stanie powalić wielu wojowników.

Od kilku dni Cuauhtémoc obserwuje ze szczytu Wielkiej Świątyni, Huey Teocalli, ruchy obcych wojsk koncentrujących się wokół jeziora. Realnie ocenia szanse. Przeciwnik nie tylko dysponuje potężną bronią, ale jego szeregi z dnia na dzień rosną w siłę. Władca ponuro patrzy na smukłe białe wieże pałaców, na lśniące w słońcu kanały, na wiszące ogrody, a nad nimi kolorowe rozśpiewane ptaki i setki motyli. Nie bez powodu obawia się, że płomienie niebawem pochłoną świat, w którym dorastał.

— W tej walce każdy dom, każdy zaułek, każda wyrwa w ziemi będą naszą twierdzą. Każcie przerwać groble, kopać głębokie rowy, w których umieścimy zaostrzone pale, szykujcie długie włócznie, które pozwolą dosięgnąć jeźdźców na bestiach. Od dzisiaj racje wody i żywności zostaną ograniczone o połowę. Musimy być przygotowani na długą obronę miasta. Wedle Xipe — gestem wskazuje stojącego w cieniu ołtarza kapłana — lud nasz przetrwa tylko wówczas, jeżeli wytrzymamy osiemdziesiąt dni oblężenia — silny głos władcy brzmi echem w kamiennej niszy.

— Za pozwoleniem, mój panie — odziany w prostą czarną tunikę, Xipe unosi pokrytą bliznami twarz. — Nie wszystko jeszcze stracone. Oczyszczająca dusze Bogini Księżyca ostrzega przed wrogimi domami na wodzie, nie powinniśmy dopuścić ich do granic miasta. Dobrze byłoby je zniszczyć, a przynajmniej kilka z nich, na znak, że przeciwnik nie kontroluje sytuacji. Każdy zadany przez nas cios da efekt podwójny, osłabi obecne siły wroga, ale i w przyszłości odejmie mu sprzymierzeńców. Nasi dawni sojusznicy, którzy dziś przeszli na drugą stronę, są chybotliwi i gotowi znów nam służyć, potrzebują tylko wiary w zwycięstwo. Matka Księżyca mówi, że losy wojny odmieniają się na naszą korzyść gdy zabijemy ich wodza. Jego ucięta głowa będzie symbolem naszego triumfu. Bogini nasza, Pożeraczka Nieczystości, chce krwi i serc niewiernych oraz wszystkich towarzyszących im zdrajców. Ta krew nawodni glebę, zapładni